

DOM

Dom liczył sobie sto lat i przez wiele lat stanowił siedzibę pastora. Zapewne tak byłoby po dziś dzień, gdyby nie druga wojna światowa. Ze wszystkich domów odeszli, płacząc, niemieckojęzyczni mieszkańcy wsi, przybyli nowi – ocierający łzy po stracie ojcowizny za wschodnią granicą, zżerani tęsknotą, przycupnęli na tej nowej ziemi obiecanej.

Stojący nieopodal niewielki kościół, zbudowany z czerwonej cegły, był rówieśnikiem domu. Jego strzelista wieża konkurowała z otaczającymi górami. Na samym szczycie wieży stał krzyż, poniżej – tarcza zegara, od lat pokazująca tę samą godzinę, w środku znajdowały się dzwony. Żal, że z upływem lat odzywały się one tylko raz w miesiącu, gdy na nabożeństwo zjeżdżali się wierni Kościoła ewangelicko-augsburskiego oraz pastor z samego Kłodzka. Bicie dzwonów miało w sobie coś nadzwyczajnego, tajemniczego. Przed wojną była to wieś ewangelicka w katolickim morzu wsi, po wojnie została się tylko garstka wiernych, jak wysepka w katolickim oceanie.

Dom przestał służyć pastorom. Ostatni z nich zginął na froncie wschodnim, jego ciało rodzina zdążyła pochować na wiejskim cmentarzu i spoczywa tam pośród swoich parafian.

Czasem duch pastora odwiedzał dom, jakby chciał nowym mieszkańcom coś przekazać, powiedzieć.

Pojawiał się nocną porą, spacerował po domu, zaglądał do sypialni pani Nauczycielki. Ubrany w czarną, wełnianą pelerynę, stał bez słowa u stóp drewnianego łóżka i czekał. Nie przeszkadzało mu zapalone światło. Znikł na zawsze, gdy Nauczycielka powiedziała:

– Będę się modliła za ciebie, ale ty nie przychodź tu więcej.

I nie przyszedł.

Inne duchy nie odważyły się tak otwarcie pokazywać; chowały się po kątach, kryły za starymi szafami, ale były. Napawały lękiem. Dwunasta w nocy, przy schodach na piętro przetąchnik od światła jeden na dole, drugi na górze; jak pokonać taką bezkresną ciemność? Ręka przesuwa się po poręczu, drży z obawy, że spotka inną...

– Trzeba modlić się za dusze zmarłych, wtedy będzie dobrze. One tylko o to proszą – powtarzała swoim dzieciom Nauczycielka.

Modlitwy pomogły, bo z biegiem lat albo duchy wyniosły się, albo mieszkańcy domu przyzwyczaili się do ich obecności.

Dom rzeczywiście był najładniejszy w całej wsi; zadbane i bez wielkich gospodarskich zabudowań. Stojący obok nieduży budynek z czerwonej cegły, przetykanej belkami z drewna, służył za drewnutnię, skład wszelkich narzędzi, kurnik. Ponadto wyposażony był we własny węzeł sanitarny w postaci dwóch drewnianych kabin, bez spłuczki, ale ze stosownymi siedzeniami i głębokim, murowanym dołem. Przed domem było małe podwórkó i ogród z obu stron. Zaniedbane, porośnięty chwastami, za to z widokiem na rzeką i tamę.

W domu od zawsze mieszkała Frau Schmidt, Szmitowa albo Szmitka, jak ją we wsi nazywano. Frau Schmidt nie była Niemką, jej mąż też nie był Niemcem, ale tytuł Frau pasował do niej bardziej niż pani. Ubierała się z niemiecka: buty sportowe i skarpetki wywijane nad kostką, na głowie chustka upięta dziwnie, w rękę nieodłączna laseczka. Słowem – istna Frau! Tak wyglądały wszystkie Helgi i Hildy na obrazkach w niemieckich książkach.

Das Haus

Das Haus war hundert Jahre alt und war Sitz des Pastors. Sicherlich, hätte es den Zweiten Weltkrieg nicht gegeben, wäre es bis heute dabei geblieben. Aus allen Häusern gingen weinend die deutschsprachigen Dorfbewohner hin, her kamen die neuen – die Tränen aus den Augen wischend nach dem Verlust ihres Vaterlandes hinter der Ostgrenze, von Sehnsucht verzehrt, kauerten sie sich auf das neue gelobte Land.

Die unweit stehende kleine Backsteinkirche war mit dem Pfarrhaus gleichaltrig. Ihr hochaufragender Turm wetteiferte mit den umliegenden Bergen. Auf dem Gipfel stand ein Kreuz, darunter war eine Uhrscheibe, die seit Jahren dieselbe Uhrzeit anzeigte, drinnen waren die Glocken. Schade, dass sie

im Laufe der Zeit nur einmal im Monat ertönten, wenn zum Gottesdienst die Gläubigen der Evangelisch-Augsburgischen Kirche und der Pastor aus Glatz zusammenkamen. Der Glockenschlag hatte etwas Außergewöhnliches und Geheimnisvolles in sich. Vor dem Krieg war das ein evangelisches Dorf im katholischen Dorfmeer, nach dem Krieg war nur eine Handvoll Gläubiger übrig geblieben, wie eine Insel im katholischen Ozean.

Das Haus war dann kein Pfarrhaus mehr. Der letzte Pastor wurde an der Ostfront getötet, die Familie schaffte es noch, seine Leiche auf dem Dorffriedhof beizusetzen und so liegt er dort unter seinen Gemeindemitgliedern. Manchmal sucht der Geist des Pfarrers das Haus auf, als ob er den neuen Hausbewohnern etwas mitzuteilen hätte. Er erschien nachts, wandelte durch das Haus und kehrte im Schlafzimmer der Lehrerin ein. In einen schwarzen wollenen Umhang gekleidet stand er wortlos am Fuße des Bettes da und wartete. Ihm machte das brennende Licht nichts aus. Er verschwand auf Nimmerwiedersehen, als die Lehrerin sagte:

„Ich werde für dich beten, aber du darfst nicht mehr hierherkommen.“

Und er kam nicht mehr. Andere Geister wagten nicht, sich so offen sehen zu lassen; sie versteckten sich in den Ecken, hinter den alten Schränken, aber sie waren da. Sie machten einem Angst. An der Treppe zum Obergeschoss hin, ein Lichtschalter unten, ein zweiter oben; Mitternacht, wie soll man nur die grenzenlose Dunkelheit passieren? Die Hand schiebt sich auf dem Geländer, zittert vor Angst, dass sie auf eine andere stößt...

„Man muss für die Seelen der Verstorbenen beten, dann wird es gut sein. Nur darum bitten sie“, wiederholte die Lehrerin ihren Kindern.

Die Gebete halfen, denn im Laufe der Jahre entweder verschwanden die Geister oder die Hausbewohner gewöhnten sich an ihre Anwesenheit an.

Das Haus war tatsächlich am schönsten im ganzen Dorf; gepflegt und ohne große Wirtschaftsgebäude. Das daneben stehende kleine Haus aus Backstein, von Holzbalken durchsetzt, diente als Holzschuppen, Abstellkammer für allerlei Werkzeug, Hühnerstall, darüber hinaus war es mit eigenen Sanitäranlagen ausgestattet, die zwei Holzkabinen ohne Spülkasten, dafür aber mit entsprechenden Sitzen und einem tiefen gemauerten Graben, ausmachten.

Vor dem Haus ein kleiner Hof und ein kleiner Garten beiderseits. Vernachlässigt, mit Unkraut überwachsen, aber mit dem Blick auf den Fluss und Damm.

In dem Haus wohnte seit eh und je Frau Schmidt, Szmitowa oder Szmitka, wie sie im Dorf genannt wurde. Frau Schmidt war keine Deutsche, ihr Mann war auch keiner, aber Frau passte besser als pani zu ihr. Sie kleidete sich auf deutsche Art: Sportschuhe und Socken, über dem Knöchel aufgeschlagen, ein Kopftuch, komisch gebunden, in der Hand obligatorisch ein Stock. Kurz und gut – eine echte Frau! So sahen alle Helgas und Hildas auf Bildern in deutschen Büchern aus.